

KATARZYNA WALIGÓRA

INWAZJA

Teatr Zagłębia w Sosnowcu

Herbert George Wells

WOJNA ŚWIATÓW

reżyseria: Weronika Szczawińska,

tekst i dramaturgia: Weronika

Szczawińska i Piotr Wawer,

scenografia i kostiumy: Daniel Malone,

premiera: 4 listopada 2017



W *Wojnie światów* Herberta George'a Wellsa złe wieści nie rozchodzą się szybko. Kiedy Marsjanie lądują na przedmieściach Londynu, w centrum miasta mało kto o tym wie. Narrator – i zarazem główny bohater – żonę i służącą ewakuuje bryczką, a uciekając przed obcymi najeźdźcami, gubi spinki do mankietów i brudzi biały kołnierzyk. Świat powieści opublikowanej pod koniec XIX wieku

funkcjonuje w innym rytmie niż świat współczesny, więc zawarta w niej futurologiczna wizja z dzisiejszej perspektywy wygląda niesłychanie archaicznie. I to właśnie stanowi siłę *Wojny światów* wyreżyserowanej przez Weronikę Szczawińską w sosnowieckim Teatrze Zagłębia.

Na scenie zbudowano biedermeierowski salonik: ściany z burgundowymi tapetami, okna z ciężkimi, kwiecistymi kotarami, wygodne krzesła, szezlong, kilka stolików,

drewniane drzwi. Użyto nawet teatralnej kurtyny z grubego czerwonego pluszu, której uniesienie rozpoczyna spektakl. Początkowe sceny rozgrywane są w konwencji farsy. Służąca przymiera suknię swojej pani, pani ją na tym przyłapuje. Pukanie do drzwi, wchodzi mężczyzna, oddaje swój płaszcz służącej i wita się z panią domu – swoją żoną. Chwilę później przychodzą goście i siadają na krzesłach. Kobiety noszą długie suknie, mężczyźni – eleganckie kamizelki i marynarki, skrojone według XIX-wiecznej mody. Wszyscy zachowują się dziwnie: robią głupie kroki jak w skeczu Monty Pythona, wykrzywiają twarze w komicznych grymasach, witają się pokracznie. Służąca stopniowo przemienia się w żywy wieszak: powiększa się naręcze płaszczy na jej ramionach, a jeden z gości niedbale zarzuca jej swój melonik na głowę tak, że przesłania jej oczy. Wszystko to rozgrywa się w milczeniu. Zresztą, kiedy wreszcie bohaterowie zaczynają dialogować, sytuacja na scenie wcale nie staje się mniej absurdalna. Gospodarze i goście wymądrzają się na temat istoty Marsa, snują egzystencjalne rozważania i cytują to, co wyczytali w gazetach, a słowa akcentują niezgrabną, przesadzoną mową ciała. Każdy chce mówić, nikt nikogo nie słucha, ale ton rozmowy przypomina zwykły *small talk* przy podwieczorku. Z bełkotu wyłania się jednak powoli wątek niespotykanych zjawisk, które obserwowane są ostatnimi czasy na Czerwonej Planecie. Chwilę później wszyscy wyciągają gazety i przystępują do cytowania fragmentów, w których prasa alarmuje o ataku Marsjan. Nadal jednak, bardziej niż przerażającymi wieściami, zaabsorbowani są przekrzykiwaniem się i przerywaniem sobie nawzajem.

W początkowych scenach spektaklu lektura powieści jest zatem przewrotnie dokładna. Weronikę Szczawińską (i Piotra Wawera, wspólnie z którym reżyserka przygotowała adaptację i dramaturgię) bardziej niż wizja zagłady świata zawarta w książce interesuje to, w jaki sposób wieść o tej zagładzie mogłaby zostać przyjęta w mieszczańskim społeczeństwie XIX wieku.

Spółeczeństwie od początku ujmowanym zresztą w ramę satyryczno-farsową. *Wojnę światów* twórcy traktują zatem nie jako wizję przyszłości, a jako świadectwo z przeszłości. Pomaga im w tym dobór przekładu Henryka Józefowicza (pierwsze wydanie tego tłumaczenia pochodzi z 1958 roku), który zachował archaiczny (z dzisiejszej perspektywy) język Wellsa. To także podjęcie gry z licznymi filmowymi adaptacjami powieści, spośród których najbardziej znany jest chyba film Stevena Spielberga z 2005 roku. Produkcje kinowe współczesniają książkę, by snuć fantazje o Marsjanach i pokazywać widowiskowe starcia militarne. Szczawińska robi coś odwrotnego.

Przedstawienie nie wyczerpuje się jednak na takim prowadzeniu gry z powieścią. Bohaterowie, którzy dotąd, mimo dziwnych póz i gestów, zachowywali spokój i przyzwoitość, kiedy kończą czytać gazety i przechodzą do opisywania wyglądu Marsjan, zaczynają stopniowo zatracać się w szaleństwie. Mówią coraz szybciej, urywanymi, chaotycznymi zdaniem, co chwila przypominając, że przybysze z kosmosu „byli głowami, po prostu tylko głowami”. W powieści Wellsa Marsjanie opisywani są ze wstrętem przemierzającym z nauką ciekawością. Są istotami inteligentnymi, dysponującymi zaawansowaną technologią, ale przede wszystkim z budowy ciała zupełnie niepodobnymi do człowieka. Szczawińska w swoim spektaklu wydobywa nieantropocentryczny wątek powieści Wellsa, pokazując, że reakcją na zetknięcie z radykalnie obcą formą życia jest rozpad świata w takim kształcie, jaki znamy. Właśnie dlatego zdekonstruowany zostaje mieszczański salonik – parawany zostają odwrócone i rozsunięte tak, że zamiast nich widzimy lustrzane złote ściany i pianino, kotary zostają naciągnięte na krzesła, część mebli przewraca się. Dotychczasowi gospodarze i goście wypadają ze swoich konwencjonalnych ról; przestają nawet zajmować się ściąganiem na siebie uwagi. Służąca, która po zrzuconiu płaszczy i melonika walczyła o prawo do głosu w rozmowach, teraz staje się

pełnoprawnym uczestnikiem zdarzeń – hierarchie społeczne w obliczu katastrofy także tracą na znaczeniu. Część z osób w salonie siada na podłodze, część nerwowo kiwa się na krzesłach w przód i w tył, ktoś brzdąka na pianinie... Cała scena zdaje się trwać w nieskończoność, frazy i ruchy zapętłają się, rozwlekają, stają się półprzytomne. Szczawińska brawurowo rozgrywa nudę, która uderza w widzów niespodziewanie, po wcześniejszych komicznych sekwencjach. Jej pomysły w *Wojnie światów* działają perfekcyjnie, bo choreograficzna precyzja, z jaką reżyserka, jak zwykle, prowadzi aktorów, znajduje dopełnienie w znakomitej scenografii Daniela Malone. Przestrzeń wyraźnie odpowiada za współkreowanie sensów, nadając bardzo konkretną ramę myślową działaniom aktorów.

Powieść Wellsa pisana jest z perspektywy wspomnieniowej, dość szybko dostajemy też w niej informację, że atak Marsjan został odparty i należy do przeszłości. W spektaklu podczas mówienia o inwazji zachowany zostaje czas przeszły, co potęguje dziwność sytuacji scenicznej. O ile bowiem w książce i filmach na jej podstawie natarcie z kosmosu jest jak najbardziej realne, o tyle w teatrze przez długi czas nie widzimy sprawców zagrożenia. Rozpoznajemy skutki ich działania, z opowieści wiemy, jak wyglądają, ale w związku z tym, że mówi się o nich w czasie przeszłym, nie mamy nawet pewności, kiedy następuje inwazja. To także gra z legendą (ponoć nieprawdziwą) słynnego słuchowiska Orsona Wellesa z 1938 roku na podstawie *Wojny światów*. Radiosłuchacze mieli pomylić fikcję z rzeczywistością i w panice rzucić się do ucieczki przed Marsjanami. Być może więc to, co atakuje zgromadzonych w salonie na scenie bohaterów, nie jest realne? Może to tylko plotka, gazetowa pogłoska o istnieniu zagrożenia, która rozbija struktury społeczne i wywołuje zbiorowy atak hysterii?

Szczawińska aż do ostatniej sceny nie rozstrzyga tych wątpliwości, a odpowiedź, która ostatecznie się pojawia, jest ironiczna i niepewna. Dwójka aktorów przebiera się w obcisłe białe

stroje, tanecznym krokiem przechodzi przez scenę i znika za kulisami. Chwilę później wraca z narzuconymi na głowy i zasłaniającymi całe ciało plastikowymi workami, wypełnionymi kurzem, ziemią i piaskiem. Czołgając się po podłodze, aktorzy wydają z siebie dźwięki imitujące piszczenie robotów, a dłońmi wysuwającymi się z otworów w workach „badają” napotkane przedmioty. Ta scena jest jak ukłon w stronę parciańych rozwiązań kina *science fiction* klasy B. A zarazem jest prześmiewczym podkreśleniem ograniczeń, jakie stawia teatralność. Zagrożenie wydawało się przecież znacznie bardziej niepokojące i realne, kiedy nie widzieliśmy jego sprawców.

Marsjańskie kukły po krótkiej obecności na scenie padają martwe. Kurtyna zaczyna opadać. Kiedy już w połowie zasłania scenę, jedna z aktorek zaczyna w pośpiechu opowiadać epilog całej historii. Marsjan zabiły choroby wywołane na skutek zakażenia bakteriami gnilnymi, które nie występują na Czerwonej Planecie i na które w związku z tym przybysze stamtąd nie są odporni. W spektaklu, podobnie jak w powieści, człowiek okazuje się słaby i bezbronny – nawet kiedy roztacza (jak postać grana przez Nataszę Aleksandrowitch) buńczuczne wizje oporu. Mieszczenie, których oglądamy na scenie, wydają się żałośni, bierni i historyczni. Nie budzą nawet litości, tylko śmiech. Choć początkowo zdaje im się, że wiedzą wszystko o Marsie, a o jego mieszkańcach mogą wyrażać się z najwyższą pogardą, szybko okazuje się, że nie potrafią zapanować ani nad tym, co radykalnie obce, ani nad sobą. I że uratowani zostają właściwie przez przypadek, za sprawą niezależnego od nich działania lekceważonego świata przyrody. Dzięki takiemu rozegraniu tematów w *Wojnie światów* Szczawińskiej mocno wybrzmiewa ironiczne pytanie: czy ludzkość w tym kształcie w ogóle zasługuje na przetrwanie? ■